№ 47. WARSZAWA, 19 LISTOPADA 1922 R. ROK IX.

SIEW

DAWNIEJ: „NASZA DRUŻYNA"

ORGAN ZWIĄZKU MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

TYGODNIK

OŚWIATOWY, SPOŁECZNY I ROLNICZY — ILUSTROWANY.

Adres: Warszawa, ul. Tamka 1. Konto czekowe P. K. O. Nr 3510.

Przedpłata wynosi: na IV kwartał 1000 mk. — Numer pojedyńczy 150 mk.

Uniwersytet wileński w epoce filareckiej.

Nie było może piękniejszej karty w dziejach naszej kultury, jak rozkwit uniwersytetu wileńskiego, w pierwszych dziesiątkach lat zeszłego stulecia.

Zespół profesorów o głębokiej wiedzy i szerokich poglądach, dobór młodzieży szkolnej, utalentowanej, zmysłem społecznym i żywem poczuciem obywatelskiem się odznaczającej, wszystko to tworzyło razem obraz niezapomniany.

Miłość i bezwzględne zaufanie łączyło wykładających ze słuchaczami; tak jednych bowiem jak drugich ożywiała jedna myśl i jedno pragnienie: przyczynienia się do wewnętrznego rozwoju ukochanej Ojczyzny. Nawet tyloma ofiarami okupione przez młodzież całej epoki porozbiorowej zbrojne odzyskanie niepodległości, odsuwano na plan dalszy, mniemano bowiem słusznie, że do wolności trzeba się przygotować, odkupić dawne winy i błędy i oczyścić charakter narodowy, opierając całą działalność obywatelską „na głęboko poznanej i przemyślanej potrzebie kraju".

Do tej działalności młodzież się usilnie w czasie swoich uniwersyteckich studjów przygotowywała. Pozostały nam z tego ślady i niezapomniane wzory w Instrukcji geograficznej, ułożonej przez Malewskiego i Zana. Daje ona doskonały plan badania wewnętrznych stosunków kraju, w tym celu, aby młodzież po opuszczeniu murów uczelni, mogła wziąć się odrazu do gruntownej pracy społecznej. Uniwersytet więc wileński był poza swoją wartością naukową, także i pierwszą w Polsce szkołą wiedzy społecznej.

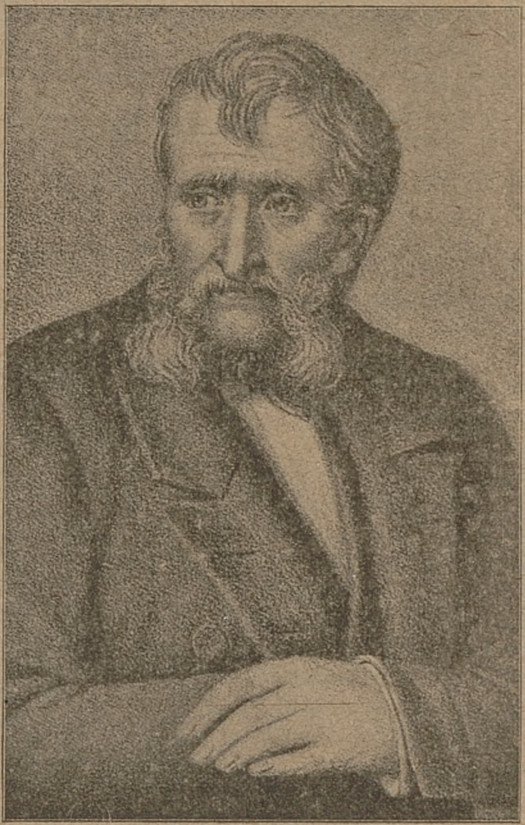
Pyjrzyjmy się duchowym kierunkom kilku wybitniejszych profesorów, a przekonamy się, jak szczęśliwą była ta młodzież, która z nimi obcować myślowo mogła.

W świat historycznej przeszłości wprowadzał młodych słuchaczów Joachim Lelewel. Wykazywał on w swoich wykładach winy i błędy nasze w przeszłości popełnione i nauczał młodzież, w jaki sposób już w wolnej, obmytej z win dawnych i odrodzonej Polsce, unikaćby ich mogła. W dziejach narodu nie widział on, wzorem dawnych historyków, jeno pano-

wania, następujących po sobie królów i wojen, które toczyli; przeszłość przedstawiała mu się jako obraz życia wszystkich warstw społecznych, badał też pilnie to, co one potrafiły w danym momencie dokonać dla dobra kraju, tak w zakresie postępu gospodarczego, jak naukowego i kulturalnego. Gorący demokrata, dowodził, że tylko zrównanie stanów, rozpowszechnienie oświaty i uczuć obywatelskich, wolność Polsce przywrócić zdoła. Sądził, że udoskonalenie narzędzi pracy, wpojenie w społeczeństwo najwyższego dla niej poszanowania, jedynie zapewnić nam mogą pomyślniejszą przyszłość.

Dla tej przyszłości pracowali też profesorowie Jan i Jędrzej Śniadeccy. Jan patrząc ze swymi słuchaczami w gwiazdy, badając z nimi układ ciał niebieskich, wskazywał na mądrość Stwórcy, który każdej planecie wyznaczył drogę do przebycia. Jest ona też z góry wskazana ludom i narodom. Każdy z nich ma jakieś ważne zadanie do spełnienia, jakiś krok do uczynienia na tym wielkim szlaku postępu, który wiedzie ludzkość do udoskonalenia. Polska zaś w szczególności położona pomiędzy Wschodem a Zachodem musi nieść w daleką, mroźną Północ, ziarna cywilizacji i słodką nowinę wyzwolenia ludów z pod jarzma ciemięzców.

Na ziemię sprowadzał młodych entuzjastów Jędrzej Śniadecki. Ten uczony przyrodnik zajmował się w szczególności biologją, która jest nauką o życiu ludzkiem. Wiedział on, że tylko w zdrowem ciele mieścić się może zdrowa i czynna dusza, pierwszy więc w Polsce, napisał książkę o wychowaniu fizycznem młodzieży. Pozostawiając słuchaczom zupełną samodzielność w dokonywaniu prób i doświadczeń naukowych, wyzwalając tym sposobem ich instynkt twórczy, kierował ich dążenia i pragnienia w stronę podniesienia postępu i dobrobytu Ojczyzny. Jego znakomite dzieło, na obce języki przełożone: Teorja jestestw organicznych zajmuje się kwestja istnienia i rozwoju wszelkich organizmów żyjących.


JOACHIM LELEWEL.

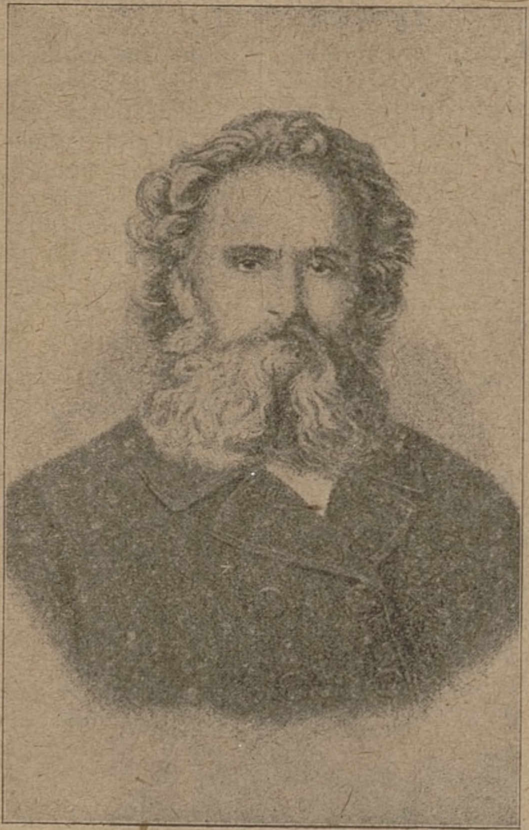
Czar i piękno naszej ziemi rozwijał przed słuchaczami Stanisław Jundziłł. Pozostawił on po sobie opis wszystkich roślin, jakie znajdują się na obszarze dawnego W. Ks. Litewskiego, ongiś nierozdzielnie z Polską złączonego. Dla użytku praktycznego napisał książkę: „O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej“, chciał bowiem, aby ta ważna gałęź gospodarstwa krajowego jaknajszerzej się rozwinęła.

Z innej jego pracy p. t. „Gabinet historji naturalnej i ogród Uniwersytetu wileńskiego“, widzimy, jak bogato ta instytucja była uposażona w pomoce szkolne, jak piękna była roślinność otaczającego ją ogrodu botanicznego. Młodzież z tym ukochanym swoim przewodnikiem czyniła liczne

wycieczki, uczyła się poznawać kraj rodzinny i cenić jego skarby przyrodzone.

Tacy byli profesorowie. Zatrzymajmy się teraz chwilkę przy słuchaczach. Wszakże to między nimi była chluba narodu, jego wieszcz, jego przewodnik duchowy na wieki całe, Adam Mickiewicz. W młodości już dzielił się on hojnie ze swymi kolegami niewyczerpanemi skarbami swej niezwykle bogatej duszy. Umiał on ich natchnąć gorącem umiłowaniem ideału, pragnieniem oddania mu w wierną służbę całego życia. On to tchnął swego wielkiego ducha w treść statutu Stowarzyszenia filomatów i filaretów, przyjaciół wiedzy, światła i cnoty. Dał on wzór dla wszystkich późniejszych Związków, z którego i młodzież wiejska skorzystała, tworząc zrzeszenia o wielkiej doniosłości dla ogólnej kultury i uspołecznienia.

Jednym z pierwszych założycieli Stowarzysz. Filomatów, zwanych później Promienistymi, był Tomasz Zan.



TOMASZ ZAN.

Zacność charakteru, niezwykła dobroć serca, wielkie przygotowanie naukowe ze skromnością połączone, cechowały tego młodzieńca. Wszystko, co piękne i wzniosłe, znajdowało żywy oddźwięk w jego duszy. Z wielką rozwagą i z doskonałem zrozumieniem potrzeb polskiego społeczeństwa, ułożył on wraz z kolegą Malewskim wyżej wspomnianą Instrukcję dla słuchaczów uniwersytetu wileńskiego, którzy przedsiębrali cały szereg wycieczek po kraju. Przedewszystkiem obowiązkiem ich było zbadanie niedostatków szkolnictwa początkowego. Polskę bowiem, według słów Mickiewicza, należało budować od jej podstaw ludowych. Potem mieli wejrzeć w stan rolnictwa, handlu, przemysłu, w celu zastanowienia się, co dla podniesienia tych gałęzi gospodarki krajowej uczynić należy. Cały zaś związek Filomatów na tem głównie polegał aby młodzież, rozpoczynająca czynne życie, tworzyła.

Koła po całym kraju, zajmujące się rozpowszechnianiem oświaty, podniesieniem szkolnictwa, pociągnięciem wszystkich warstw ludności do szerokiej a ciągłej i wytrwałej działalności społecznej.

Ten ruch jednak, którego głównym celem miała być ewolucja, to jest stopniowe doskonalenie się narodu, uznany został przez władzę rosyjską za niebezpieczną działalność rewolucyjną. Uniwersytet został zamknięty a młodzież przez ówczesnego gubernatora, Nowosilcewa, była więziona, katowana i wreszcie w głąb Rosji zesłana. Światło wiedzy, ognisko zadań podniosłych i szlachetnych zagasło.

Czy na zawsze jednak?

Wyroki losów często są sprawiedliwe. Gdy czara błędów ludzi, czy narodów przepełnia się, Opatrzność zsyła klęski, pogrąża naród w upadku i niewoli. Odradzająca się siła charak-

terów, szereg bezinteresownych poświęceń, ofiara życia ludzkiego, wreszcie czyny, „jak kamienie rzucane na szaniec", — według słów Słowackiego, — okupują winy. I oto Polska, ta ukochana nasza Ojczyzna, zmartwychwstała. Zaświeciła też jasna gwiazda—na jej niebie, Uniwersytet wileński. Otworzył go ponownie syn ziemi litewskiej, waleczny nasz wódz i oswobodziciel, a pierwszy Naczelnik wolnego Państwa: Józef Piłsudski. I znowu zaczyna działać ta placówka kultury, na wschód wysunięta; oby działalność jej profesorów i słuchaczy przyczyniła się do pogodzenia zaostrzonych obecnie przeciwieństw narodowościowych. Niech działają w imię tych haseł, które tworzyły niegdyś wielkość Polski: roznosicielki światła i pokoju.

J. W. Kosmowska.

Andrzej Frycz Modrzewski

(* 1503 † 1572).

Był to jeden z najgłębszych i najszlachetniejszych myślicieli polskich. Żył i działał w „okresie złotym" polskiej kultury, kiedy to przy ogólnym dobrobycie rozkwitały u nas poezja i umiejętności, a mimo to potęgą swej myśli, szlachetnością dążeń i głębokiem zrozumieniem politycznego położenia Rzeczypospolitej przewyższał najlepszych w narodzie.

Z pochodzenia był szlachcicem, lecz już w tak odległej epoce doskonale rozumiał, że naród składa się nietylko ze szlachty, ale z wszystkich jego warstw społecznych, a więc także z mieszczan i z chłopów. Umiał wznieść się ponad interesy stanu szlacheckiego, co wówczas (jak i dzisiaj) było rzadkością; w swych głębobokich dziełach nietylko stawiał dobrobyt całości państwa polskiego ponad dobrobyt warstwy szlacheckiej, lecz odważnie, a gorąco i wymownie bronił miast i włościaństwa przed gospodarczym i politycznym uciskiem szlachty. Rozumiał bowiem dobrze, iż mocarstwowa potęga Polski trwale opierać się może tylko na zdrowem, prawidłowo rozwiniętem społeczeństwie, jako na swej naturalnej podstawie. A wówczas właśnie równowaga klas społecznych była już poważnie zachwiana.

Historja przyznaje dzisiaj, że główną przyczyną upadku Polski był fakt, iż jedna warstwa społeczna, mianowicie szlachta, politycznie i gospodarczo zdusiła dwie inne klasy: mieszczan i chłopów, innemi słowy, iż Rzplta nie wykształciła się na zupełny, całkowity organizm społeczny. Już za króla Ludwika złożone są zarody późniejszej niezależności szlachty wobec króla. W drugiej połowie XV-go wieku wzmaga się jej przewaga w sprawach społeczno-politycznych. Za Olbrachta i Aleksandra (1501 — 1506) szlachta dąży już nie do pierwszeństwa w społeczeństwie i państwie, lecz do wyłącznego w nich panowania.

Na sejmie r. 1496 uchwaliła prawo (właściwie bezprawie), że mieszczanie nie mogą posiadać majątków ziemskich. To wywłaszczenie miast zostało wznowione i wzmocnione konstytucjami (ustawami), uchwalonemi na sejmach w r. 1538 i 1542. Ustawy te zarazem odsunęły mieszczan od zajmowania urzędów państwowych i od udziału w sejmach, co dla rozwoju miast było niepowetowaną szkoda. Nawet wyższe godności duchowne, jak np. stanowiska kanoników katedralnych, opatów, mogła zajmować tylko szlachta. Już w pierwszej połowie XVI-go w. miasta, ujarzmione ekonomicznie, utraciły w życiu politycznem Rzpltej wszelkie znaczenie, a z czasem i prawa, były (według wyrażenia Sebastjana Petrycego, jednego z bardzo nielicznych w XVI w. obrońców włościaństwa) w życiu politycznem państwa osłem, zaproszonym na wesele po to tylko, by wodę nosił.

Włościanie, którzy jeszcze w XV-ym i pierwszej poł. w. XVI-go posiadali gospodarstwa 15-to, a nawet 30-to morgowe i płacili z nich szlachcicowi niewielki czynsz (opłatę), powoli tracą swą wolność osobistą. Ustawy sejmów z lat: 1501, 1503, 1510 i 1511 przykuły chłopa do ziemi; od tego czasu

chłop, ani też jego dzieci, nie mogli opuszczać wsi bez pozwolenia pana; włościanin stał się więc „glebae adscriptus“*); szlachta przymusowo wykupiła sołtystwa, włościanie więc utracili samorząd i własne sądy. Odebrano chłopom prawo apelacji od sądu pana wsi, co dokonało się za Zygmunta Starego. Teraz szlachta, odciąwszy chłopom możność prawnego oporu, pozbawiwszy ich wolności i osiągnawszy przewagę wewnątrz wsi, poczęła dowolnie zwiększać ciężary i obowiązki włościan, nakładać na nich coraz większe r o b o c i z n y, początkowo jeden dzień tygodniowo z łanu (t. j. z włóki), później dwa, trzy dni i t. d. Włościanie popadli w zupełne poddaństwo szlachty.

Tak więc dwie składowe części polskiego społecznego organizmu, stanowiące ogromną większość polskiego narodu, zostały pozbawione praw politycznych, utraciły dobrobyt gospodarczy, uległy atrofji (uwiądowi).

Modrzewski jasno pojmował, że tak okaleczony organizm społeczny nie może prawidłowo się rozwijać, nie może wytworzyć takiej siły gospodarczej, politycznej, umysłowej, jaka potrzebna mocarstwowemu stanowisku Polski. Piętnuje tedy odbieranie włościanom ziemi, wykupywanie sołectw, krzywdę i ucisk ludu; domaga się głośno i wielokrotnie „j e d n e g o p r a w a d l a w s z y s t k i c h“, czyli zrównania wszystkich klas i warstw społecznych nie w prawach politycznych, lecz wobec prawa cywilnego i karnego. Wymownie zwalczał ustawy, zabraniające mieszczanom posiadania ziemi i domagał się swobodnego dla miast i handlu rozwoju; żądał zniesienia juryzdykcji (sądownictwa) panów nad ich poddanymi-włościanami; oburzał się na niesprawiedliwe prawo o mężobójstwie, według którego plebejusz (a więc mieszczanin i włościanin) za zabicie szlachcica ponosił karę śmierci, a szlachcic za zabicie plebejusza tylko karę pieniężną. W sprawie odmiany tego prawa napisał kilka o r a c j i (mów): „O karze na mężobójstwo“, w których z najgłębszem oburzeniem chrześcijańskiego sumienia i politycznego rozumu piętnuje to lekceważenie życia bliźniego, to bezkarne wprost zabijanie chłopów i żąda na zabójcę kary śmierci bez względu na jego stan społeczny.

*) Przypisany, czyli przykuty do ziemi.

Współcześnie szerzyła się na ziemiach Rzeczypospolitej reformacja, to jest nauki Lutra, Kalwina, Zwinglego, Socyna i w. in. Szlachta polska żywo interesowała się zagadnieniami religijnemi, domagała się usunięcia nadużyć w kościele i zaprowadzenia pewnych reform. Modrzewski, korzystając z religijnego nastroju szlachty, cytatami z pisma św. dowodził, że ludowi dzieje się krzywda. Wymagał od szlachty, by słowom wiary i pobożności n a u s t a c h w praktyce odpowiadały c z y n y sprawiedliwości względem stanów niższych. Niemożliwą jest rzeczą, twierdził, aby szczerze o poprawie nauki religijnej i obrzędów prawili tacy, którzy świadomie milczą o prawie na mężobójców. Bogu mniej zależy na reformacji kultu i ceremonjału zewnętrznego, aniżeli na uszlachetnieniu życia ludzkiego. Obłudą jest domagać się przyjmowania w kielichu krwi Chystusowej, gdy lekceważy się krew człowieka, przezeń odkupionego, a bliźniego, o ile jest plebejuszem, darzy się pogardą. N a n i c w s z e l k i e n a b o ż e ń s t w o, p ó k i s i ę n i e w y p e ł n i o b o w i ą z k ó w m i ł o ś c i w z g l ę d e m b l i ź n i e g o.

Patrząc daleko w przyszłość i przewidując zło i nieszczęścia, które z takiego upośledzenia miast i włościaństwa spotkać miały Rzpltą, wołał Modrzewski do szlachty:

„Przez Rzeczpospolitą, która najmilszą wam być winna, błagam was i zaklinam, a b y ś c i e s i ę w y z b y l i t e j z b y t n i e j m i ł o ś c i w a s z e g o s t a n u, a przejęli się prawdziwą miłością bliźniego, albowiem i na imię wasze ściągnąć możecie wielką hańbę i klęskę na Rzeczpospolitą, która dotychczas trzyma się przez boskie dobrodziejstwo... Wielkie widać wszędzie i jakby złowieszcze rozluźnienie dyscypliny, co jest nader smutną oznaką zbliżającego się jakowegoś nieszczęścia. Żadna nigdy Rzplta nie została zgnieciona orężem zewnętrznym, którejby wpierw nie nadwątliły złości wewnę-

trzne. Baczcie więc, abyście nadal brnąc w zuchwałości, nie przyspieszyli zguby i swojej i Rzpltej. Jakimś obrotem popadła ona w niewolę możnych, ci zaś, cokolwiek robią dla własnego interesu, zawsze zasłaniają się dobrem Rzpltej, jakgdyby ono polegało na swawoli szczupłej garstki, a nie na szczęściu powszechności".

Głównem dziełem Modrzewskiego, przetłómaczonem na języki: francuski, niemiecki, włoski i polski (oryginał bowiem—po łacinie) jest „Poprawa Rzeczypospolitej". Zjednało mu ono szeroką sławę i postawiło słusznie w rzędzie najtęższych europejskich statystów ówczesnych (obok Bodina i Macchiavella). Przepojone szczytną humanitarnością i serdeczną troską o losy Ojczyzny, roi się od wielkich twórczych myśli.

Cały swój głęboko obmyślany system naprawy polskiej państwowości opiera Modrzewski (wzorem klasyczności greckiej i rzymskiej) na obyczajności publicznej. Widział on, jak każdy stan: szlachta, magnaci, duchowieństwo, dążył do osłabienia siły państwowej, która i tak była nieznaczna. Jako sekretarz Zygmunta Augusta był świadkiem wielu nieporządków w Polsce, widział jak rwały się próby naprawy, jak nędznie upadały projekty stworzenia siły zbrojnej, projekty reform skarbu i sądownictwa, rozbijając się o prywatę, chciwość, niesforność, gwałtowność, sobkostwo obywateli, o zawiść wzajemną magnatów i szlachty. Widział również, że administracja państwowa nie odznacza się sprężystością działania, że władza wykonawcza podlega wielu wpływom i załamaniom. W takim chaosie Modrzewski nie mógł liczyć na powodzenie reform, na przeprowadzenie planów naprawy Rzpltej dopóty, dopóki całe społeczeństwo nie zostanie od podstaw przebudowane przez odnowę moralną, dopóki nie zostanie zaopatrzone w nowe soki przez przemianę jakby chemiczną, przez udoskonalenie obyczajów. Gdy każdy obywatel odrodzi się wewnętrznie, gdy dzięki wysokiemu stopniowi moralności własnej będzie wrażliwy na krzywdę społeczną, będzie się czuł zobowiązanym do ofiarności na korzyść wspólną, wówczas Rzplta zyska fundament niespożyty i uda się uzdrowić stosunki społeczno-polityczne. Rozumowaniom Modrzewskiego nie można odmówić słuszności, lecz, niestety, nadzieje szlachetnego myśliciela nie miały się ziścić głównie dlatego, iż opierały się na pojęciach niezgodnych z rozwojem nowożytnego państwa. Praktyczne i mądre reformy społeczno-polityczne są i muszą być przeprowadzane, bez względu na poziom moralny jednostek dla wielu przyczyn, choćby dlatego, że i zdrowe stosunki społeczne umoralniają ludzi, a najbardziej etyczna jednostka, postawiona w bagnisku społecznem, zwichnie się i skarleje.

By podnieść społeczeństwo na wyższy poziom moralny — ciągnie dalej Modrzewski—trzeba m. in. wychować młode, przyszłe pokolenie na lepszych zasadach społeczno-moralnych, trzeba je przepoić czynną miłością ojczyzny. W tym celu Modrzewski podaje wiele praktycznych rad i wskazówek i żąda stanowczo, aby wychowanie szkolne było publiczne, nie tak, jak to dotychczas, i długo jeszcze po Modrzewskim, praktykowało się w Rzpltej (i w Europie), że szkolnictwo było pozostawione kościołowi, klasztorom, lub prywatnej trosce jednostek.

To żądanie, by państwo objęło w swój zarząd szkoły, by wychowanie młodych pokoleń było taką samą funkcją państwa, jak obrona kraju lub sądownictwo, Modrzewski wypowiedział pierwszy wśród statystów (znawców polityki) europejskich.

Nie można dla braku miejsca wyczerpać obfitej treści „Poprawy". Dodamy krótko, że Modrzewski żądał zniesienia sądów szlachty—dziedziców nad włościanami wsi, przypuszczenia ludzi nieszlacheckiego pochodzenia do urzędów, wzmocnienia obrony kraju, uporządkowania skarbu; głosił szacunek dla pracy; oburzał się na powszechne, a bardzo szkodliwe przekonanie szlachty, iż zajmowanie się handlem i rzemiosłem kala honor szlachecki, a tem samem wyłącza z rodziny szlacheckiej. Jakże szlachetnie i wysoko wznosi się Modrzewski ponad wielu innych

wykształconych pisarzy tego i późniejszego okresu. Stan. Orzechowski np. szeroko uzasadnia twierdzenie, że „kupiec, rzemieśnik, oracz, nie są dziedzicami Królestwa Polskiego, ale są sługi jego". Nie są obywatelami, nie można im dać równych praw politycznych, bo są to ludzie z natury lichsi, potrzebni wprawdzie, lecz niewiele cenniejsi od zwykłego narzędzia mechanicznego: „Gdyż ten sposób wszystkich rzemiosł taki jest, iż one sprośne a smrodliwe są, żadnego z nich zacnemu człowiekowi przystojnego nie masz rzemiesła. Powiedziałem wam o rzemiesłach, powiem też i o kupiach".[1]) Podobnie wyrażał się postępowy zresztą prawnik, Jak. Przyłuski, Wolan i w. in. Modrzewski przeciwnie, twierdził, że praca fizyczna nietylko nie hańbi, ale owszem uszlachetnia, i wykazywał, że wybujanie pewnych klas z śmiertelną szkodą innych, że uciemiężenie włościaństwa wiedzie państwo do upadku. Słuszności jego przekonań i trafności przewidywań aż nadto boleśnie dowiodły dzieje następnych stuleci.

Dr. Józefat Płokarz.

STANISŁAW GIBESS.

POGADANKI PRZYRODNICZE.

II.

PIĘKNO W NATURZE.

(Ciąg dalszy).

Teraz popatrzcie, jakie to strojne te góry.

Od dołu ubrały się zwykle w ciemno-zielone spodnice odwiecznych, mrocznych lasów. Dolny brzeg obramowały srebrnemi deseniami z nici strumieni i potoków. Na samym zaś dole szerokie falbany różnobarwnych, uprawnych pól.

Zrzadka na spodnicy naszyły sobie dla rozmaitości plamy siedzib ludzkich. Tu i ówdzie błąka się samotne obejście górala. Za to na falbanie pełno świetnych, błyszczących wyszywań. Wsie, miasta całe, drogi, fabryki rozsiadły się wielkiemi gromadami. Biegnie od nich gwar życia, łoskot maszyn, a w nocy miljony świateł starają się rozprószyć ciemności.

Stanik znowu na modę krakowską zielony — jasny, upstrzony kwiatuszkami barwnemi (to połoniny i łąki górskie) — oddołu na suknię, opada szeroką frendzlą kosówki i krzewów.

A wyżej ponad tem dumne, szare, skupione w wyrazie, zakamieniałe w rysach, głowy szczytów. Patrzą nieruchome z wysokości na świat. Zadumały się mocno, bo cudnym jest ten świat, ta ziemia. Aż chętka bierze przytulić go do siebie—tylko kręcą się po nim często i gęsto źli ludzie, którzy nie umieją go kochać i szanować.

Mają też czasem te góry i oczy, a wolą niemi patrzeć w bezdenne niebiosa lub same się w nich przeglądać.

Oto przed nami także oko,—górskie Tatrzańskie jezioro. Jak szklanna tafla równe i gładkie, czasami zmarszczy je wietrzyk, lub zamąci obłoków cień. Czyste jak łza, gładkie, spokojne, ciemne, bezdenne, smutno lecz dumnie patrzy w niebo. Przeglądają się w niem okoliczne wirchy. Czasem słońce rozpali źródło blasków, rzuci chojnie wielki snop promieni, a oko jakby ożyło, snopy iskier, błysków rzuca w niebo, ożyły barwy, świetne—jasne. Po zboczach pełzną ku niemu białe strumyki, pozostałego na zboczach od zimy śniegu. Wpadają weń i odbijając się jak w zwierciadle, łudzą nasze oko, że są bez końca.

Jakże pięknie, jak cudnie wyglądają góry w zimie!

Owinęły się w gruby, śnieżny, niepokalanej białości kożuch, usypały go po wierzchu szronem, kryształami lodu i w blaskach słonecznych sieją dokoła miljardy białych, świetnych, olśniewających promieni. Zmęczą się wkrótce twe oczy, ukorzą przed tą powodzią blasków. Bez ciemnych szkieł nie będziesz mógł patrzyć na świat. A cudny i piękny! Pod śniegiem złagodniały linje, zniknęły poszarpane skały i turnie. Wszechwładnie zapanowała łagodna, falista linja i biała barwa.

---

[1]) Policja Królestwa Polskiego, str. 60.

Tu i ówdzie szare plamy obnażonych skał i ziemi przerywają śnieżny całun. Zielone lasy szpilkowe również nie dały się pokonać całkowicie.

Zwierzchu przysypane śniegiem, dumnie wychylają z pod śnieżnych puchów swe korony, i urozmaicają monotonność obrazu. Nagie drzewa liściaste wstyd ogarnął i zazdrość. Zamiast liści przybrały szatę białą, zlały się z ogólnem tłem. Najdrobniejsze nawet gałązki otoczyła gruba warstwa, parocentimetrowej długości igieł białego szronu. Podobne są do lisich nastroszonych ogonów.

Błękitne i granatowe cienie błądzą po śnieżnem polu, spokój, cisza panują wszechwładnie. Tylko dymy z chat biją prosto ku niebu, dają znać o utajonem wewnątrz życiu. Cicha cudowna noc zimowa!

Wyszedłem przed schronisko Towarzystwa Tatrzańskiego w Gąsiennicowej Hali. Dokoła wszystko zasypane śniegiem. Jedna wielka przestrzeń biała, tu i ówdzie przerwana ciemnemi plamami lasu. Ośnieżone szczyty i grzbiety gór, wyraźnie odcinają się na tle czarnego jak atrament nieba.

Wokoło zda się miljony świętojańskich robaczków oświetlają swem mdłem zimnem, bladozielonkowatem światłem drogę. To światło księżyca łamie się w drobnych kryształkach lodu. Niebo czarne, usiane miljardami gwiazd. Mam wrażenie, że gołem okiem odróżniam, że jedne są dalej drugie bliżej. Blady księżyc cicho sunie po niebieskiej kopule i oświetla widok, bladem bez życia światłem. Nic nie drgnie w mroźnem powietrzu, żaden dźwięk najlżejszy nie zmąci ciszy. Po chwili jakieś uczucie przykre samotności, martwoty, bezradności, lęku ogarnia cię i nie pozwala dalej podziwiać naprawdę pięknego widoku. Przypomniał mi się wtedy jak żywo, opis Żuławskiego, pustyni śmierci na księżycu, z powieści na „Srebrnym Globie".

Bardzo często, choć mieszkam w mieście, rano o świcie, jeszcze prawie że ciemno, odwracam głowę ku oknu i przez parę chwil zapomnienia szukam gdzieś hen, wysoko, rozświetlonych, rozjarzonych w blaskach słonecznych, ośnieżonych szczytów Tatrzańskich. Jeszcze w dolinie ciemno, po górach snują się cienie, tu i ówdzie wpadną na chwilę snopy promieni świetlnych a ostre wysokie szczyty jaśnieją już całą pełnią blasków słonecznych, rozszczepionych na tysiące promieni w drobnych kryształach lodu i śniegu. Jak gdyby jakieś wielkie, świetne lampy zapalono na wielką, wspaniałą iluminację. O wschodzie słońca zabraknie nam trochę barw, panują wszechwładnie białe, olśniewające blaski, za to o zachodzie takiej gry barw, takiego doboru, takich przejść raptownych od jednych do drugich, jak zimą w Tatrach, nigdzie nie widziałem.

Oto najwspanialsza purpura, morze gorących płomieni, a zaraz obok ciemny granat lub jasno-żółty kolor, za nim zielony, niebieski. Jakie kto chce, wszystkie czyste i silne, jaskrawe. Nie zlewają się z sobą. Każdy kolor ma silnie oznaczone granice. Po za niemi już inny. Taki oto barwny kilim przewija się przed nami minut kilkanaście, wreszcie powoli traci na sile jaskrawości, zaciera się i szara barwa zapanuje ogólnie.

Pisałbym może o pięknie gór długo jeszcze, lecz muszę także słów kilka poświęcić i innym miejscom naszego kraju, może dla was piękniejszym. Jednym podobają się góry, innym morze, lub step rozległy.

A byłem i widziałem różne strony i wszędzie piękna znalazłem tak wiele. O bo ta wielka nizina Polski, choć tak równa, ale jak ukochana przez nas!

Pełno rzek, strumyków, jezior, lasów. Wzrok co chwila obraz inny widzi. Oto jezior, jeziorek, stawów, kanałów masa. Jak gdyby wielka sieć srebrna, rzucona na ziemię, pokryła szmat jej wielki swemi oczyma, a pośród tych srebrnych nici, ciemnieją plamy lasów, pól uprawnych, śmieją się do nas poprzez jasne szybki czystych chat wioski lub miasteczka.

Tu znowu, na wysokim rzecznym brzegu, rozsiadły się dumnie ruiny jakiegoś zamczyska starego. Kruszą się mury, rozpadają, lecz od lat setek już stoją, patrzą na rzeczne fale, na życie ludzkie, na rozległy widok. Kiedyś by-

ła to może siedziba możnego, sławnego rycerza, może rozbójnika. Dziś to tylko piękne wspomnienie minionej świetnej przeszłości.

Szeroka, chłodna, wonna, ocieniona szeregami lip stuletnich aleja gościnnie wita cię na progu chaty ojców twoich. Ileż to wspomnień z lat dziecinnych przesunie się przed twemi oczyma?

W oddali widać twą wioskę rodzinną, wśród powodzi sadów, rozkwieconych w maju.

Dokoła ścielą się pola uprawne, znaczą się wielkimi pasami, dzielą płaszczyznę na szachownicę, a każde pole na niej innej barwy, innego odcienia. Na miedzach przysiadły dostojnie grusze polne. Gdzieś na wzgórzu z pośród starych drzew, skromnie strzela ku niebu wieżyczka kościoła. Ileż to razy dzwon z niej wzywał cię rano i wieczór do modlitwy!

Czyż nie jest piękną twoja, niska, zgrzybiała, przysiadła ze starości w wieńcu dzikiego wina, w otoczeniu kwitnących malw, słoneczników, bzów czysto wybielona, wymieciona, utrzymana w ładzie i porządku chata?

Popatrz, coś to z boku szemrze i z cicha upomina się o piękne przywitanie.

Nad strumykiem obok niewielkiego stawu przytulił się stary młyn wodny. Zrzędzi, trzeszczy, mruczy, trzęsie się starowina, otulił się sadem, wrósł w ziemię, ale wciąż gada, przypomina, że istnieje. Stawek dokoła obrośnięty wierzbiną.

Zwiesiły wierzby swe długie warkocze ku wodzie, przeglądają się w wodzie i jak stare panny dumają, co tu uczynić z tak bujną fryzurą. Odwróciły się zazdrośnie ku wodzie, nie chcą patrzyć na śliczny korowód wonnych, w świeżej jasno zielonej szacie, w białych spencerkach, młodych brzózek. Ileż to razy spędzałeś miłe chwile w ich cieniu miłym z fujareczką z wierzbiny, ile razy zwierzałeś się im z swych bolów, żalów, trosk, zawodów codziennych... (D. n.).

Fundacje włościańskie.

II.

Państwo rolniczo-przemysłowe w Sztabinie

Rozważając czyny i dzieła ludzi najlepszych w Polsce a w szczególności tych, co pracę całego swego życia dobru ludu rolnego poświęcili, nie rozumielibyśmy dostatecznie pobudek, które ich skłoniły do wyłącznego oddania się sprawie zniesienia pańszczyzny i wyzwolenia włościan z poniżającego ich poddaństwa, gdybyśmy nie rzucili okiem na epokę, w której oni działali. Paweł Brzostowski pomaga włościanom do stworzenia wzorowej gminy kmiecej jeszcze w dobie trwania niepodległości państwowej Polski. Widzi on, że ten gmach wspaniały, ręką praojców wzniesiony, chwieje się i rysuje w podstawach, chciałby go podnieść i podtrzymać nową siłą z ludu wyrosłą.

Karol Brzostowski, o którego działalności obecnie pomówimy, żyje już w innych czasach.

Nieszczęście się spełniło, Polska rozdarta na trzy zabory, nie trzeba jednak tracić nadziei, siły w narodzie niezniszczone, zdolności wszelakich niemało, trzeba je tylko skupić, w pracy twórczej wykorzystać a przedewszystkiem zespolić wszystkie warstwy w jednym umiłowanym celu: odzyskania niepodległości. Wiek 18-ty kończy się klęską powstania Kościuszkowskiego, zostaje jednak w nas wspomnienie kos Racławickich i Uniwersał Połaniecki, żądający dla włościan równouprawnienia. O niepodległość walczyć znów jednak będą Legjony pod wodzą Napoleona. Niosą one na swoich sztandarach równość i hasła sprawiedliwości społecznej i w odzyskanym krwią swoją skrawku wolnej Polski, jakiem jest stworzone przez Cesarza Francuzów, Napoleona, Księstwo Warszawskie, wprowadzają w życie te idee i zasady, dla których walczyły. Zaprowadzone więc jest i udoskonalone szkolnictwo powszechne a równocześnie coraz żywiej odzywają się dążenia do ogólnego uwłaszczenia włościan tą ziemią, którą uprawiaja

Reforma ta jednak idzie zbyt powoli dla gorętszych, patrjotycznych jednostek. Pomiędzy niemi znajduje się Karol Brzostowski. Zanim rząd i społeczność szlachecka zdecydują się na tę konieczną reformę, on postanawia ją w majątku swoim sam przeprowadzić i co więcej jeszcze oddać całą posiadaną ziemię włościanom na wieczystą własność. A majątek to niemały, składa się on ze wsi Sztabina, położonej w Suwalszczyźnie i z 26-ciu wsi sąsiednich.

Zanim jednak odda włościanom tak duży szmat ziemi na samodzielne władanie, postanawia ludność tych wsi odpowiednio do tej ważnej czynności przygotować i odpowiednio wykształcić. Sam uzdolniony inżynier, Brzostowski, wie i rozumi, że kraj samem rolnictwem wyżywić się i utrzymać nie potrafi, że znaczna część ludności, cierpiącej biedę na roli, trzeba odciągnąć do ośrodków fabrycznych i przemysłowych dać jej zarobek, wzbogacając równocześnie kraj przez powiększenie jego produkcji i uniezależnienie go od obcych fabrykatów, niemieckich w szczególności.

I znowu tak, jak jego imiennik przed kilkudziesięciu laty, Karol Brzostowski obejmuje dziedzictwo zniszczone przez pochody wojskowe i zaniedbane, o ludności ciemnej, pijaństwu i złodziejstwu oddanej.

Narazie wydzierżawia włościanom ziemię na czynsz b. niski, ale z warunkiem, że będzie ona wzorowo, podług jego wskazówek zagospodarowaną. Inżynier wykształcony w swoim fachu dzieli i urządza ziemię na zasadach rady agronomicznej; każda osada przezeń stworzona ma odpowiednie warunki do rozwoju przez przydzielenie jej kawałka łąki i lasu, przez urządzenie płodozmianu. Przed wyborem gruntu przez przyszłych dzierżawców świadomsi gospodarze oceniają glebę i ustajalą jej wartość. Sołtysi wyznaczeni są do egzekwowania czynszów.

Sobie Brzostowski pozostawia, prócz mieszkania na jednym z mniejszych folwarków, las, który postanawia eksploatować w przemyśle fabrycznym. Zakłada najprzód hutę szklaną i poczyna, jak mówi, „z piasku bicz kręcić“, ma bowiem masę zobowiązań i długów. Zrazu kieruje mądry sprowadzony hutnik. Potrafił on jednak tak wprawić swoich pomocników, iż ci wkrótce objęli całe przedsiębiorstwo i siłami miejscowemi je prowadzili. W Sztabinie praca wre. Do skromnego dworku Brzostowskiego cisną się ludzie po radę i naukę, coraz się lepiej na swoich osadach gospodarują, i nieźle ciągną z nich dochody. Doświadczenie z hutą do dalszego rozwinięcia przemysłu zachęciło. Zaczęto właśnie budować kanał, łączący rzekę Narew z Niemcami; włościanie sztabińscy nie chcieli dopuścić, aby obcy fabrykanci rury do robót kanalizacyjnych dostarczali. Rada w radę, gromada umawia się ze swoim naczelnym inżynierem Brzostowskim i wnet postanawiają założenie giserni. Najprzód dwóch, potem czterech ludzi miejscowych wyrobiło się na majstrów a setki na rzemieślników giserskich i hutniczych. Przedsiębiorczość i pomysłowość tak się rozwinęła wśród ludności dóbr Sztabińskich, że gdy jedni, ulepszając wciąż swoje gospodarstwa, doszli do urządzenia dużych plantacji kapusty i chmielu na morgach doskonale uprawnych i wsiami otoczonych, drudzy czynnie dopomagali Brzostowskiemu do wprowadzenia coraz to nowych przemysłów a nawet do czynienia wynalazków.

Pierwszą machinę parową zbudował sprowadzony przez niego Anglik, drugą już za to zbudowano na miejscu, polskiemi siłami. Co za radość była wtedy w Sztabinie, gdy ją poraz pierwszy w ruch puszczono. Łatwo już było założyć każdą fabrykę. Stworzono więc tak potrzebny na wsi wyrób maszyn rolniczych, a pomnijmy, że działo się to wszystko w początkach 19-go wieku, gdy przemysł jeszcze nie był w Polsce rozwinięty.

Ambicja budziła się wśród ogółu, aby iść coraz wyżej. Gdy raz usunięto zaporę postępu w poniżeniu włościanina, wtedy każdy człowiek uwierzył w swoją moc i zdolności. Powstało też w Sztabinie prawdziwe królestwo pracy. Nikt

tam nie próżnował. Gdy „nie masz co do roboty—mawiano—zbieraj chociaż kamienie po polach, przydać się one mogą na fundamenty do przyszłych budowli". Młodzież była ciągle zajętą. Wprowadzono też przymus szkolny, więc każde dziecko się uczyło. Prócz szkół stałych w każdej wiosce założono szkoły niedzielne dla starszych, ustanowiono też instytucję nauczycieli wędrownych, na której czele stał naczyciel-przewodnik, wychowawca, przyjaciel i doradca tych, co się kształcić chcieli. Gdy przybywał do wsi, wszyscy z radością go witali, udzielał bowiem rad w takich sprawach jak pokierowanie dziećmi, wysyłanie ich do dalszego kształcenia do miast itp. Naczelny ten nauczyciel znał doskonale wszystkich, oka jego nie uszło żadne moralne wykroczenie, zaraz je do odpowiedniej listy wpisywał. W miarę wzrostu fabryk powstawały przy nich szkoły fachowe, kursy dla majstrów, urzędników rolnych i fabrycznych, administratorów. Ponieważ jednak zarządzający temi różnorodnemi przedsiębiorstwami i gospodarstwem rolnem składali się z przedstawicieli miejscowego żywiołu włościańskiego, odpowiednio wyrobionego, nie było wśród nich żadnych wyróżnień i tytułów, nie znano też w Sztabinie ani sędziów ani dyrektorów, chociaż czynności były ściśle podzielone i w danym razie jeden drugiego mógł i musiał zastąpić.

Ale nad znakomicie zagospodarowanemi i uprzemysłowionemi dobrami Sztabińskiemi przewaliła się burza. Rewolucja 1831 r. zabrała najtęższych pracowników, którzy bądź zginęli bądź na dożywotnią tułaczkę na obczyźnie zostali skazani. Cała działalność jednak była tak dzielnie zorganizowana, że klęskom krajowym nie uległa. W 1852 roku Brzostowski umierając cały majątek zapisał włościanom i robotnikom fabrycznym z warunkiem, by w dalszym ciągu rozpoczęte dzieło prowadzili a z procentów od zysków utrzymywali nadal instytucje społeczne jak: szkoły, kasy pomocy i oszczędności, szpitale, przytułki itp. Ciekawemi niezmiernie są zasady, na których miał być utworzony fundusz fabryk. Otóż czysty dochód z przedsiębiorstw przemysłowych miał być podzielony na 4 części. Jedna z nich iść miała na zwiększenie funduszu stałego, druga—na nagrody dla robotników, emerytury ich, wynagrodzenia za nieszczęśliwe wypadki, trzecia—na zawodowe kształcenie pracowników, czwarta wreszcie—na utrzymanie stałego administratora tych wszystkich urządzeń, tak rolnych jak przemysłowych. To ostatnie cały zapis zgubiło. Nie znaleźli się ludzie, którzyby dalej wielką myśl testatora prowadzić umieli; ostatni zaś cios całej sprawie zadał rząd rosyjski. Przez zrusyfikowanie szkolnictwa zabił wolną i twórczą myśl w młodem pokoleniu włościańskiem, coraz więc mniej wychodziło z niego ludzi, którzyby te doniosłe zadania, jakie gromadzie sztabińskiej powierzone zostały, spełnić zdołali. Wreszcie rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Petersburgu zajęło się tą sprawą. Zamknięto fabryki i szkoły zawodowe, zabrano fundusze żelazne. Stało się to w 1880 roku. I tak ta fundacja rolniczo-przemysłowa, która miała wykazać, do czego lud polski oświecony i obywatelsko wyrobiony jest zdolny, upadła i Sztabin stał się znów ciemną gminą chłopską, wiecznie małoletnią i niezaradną.

Czy w wolnej Polsce wskrześnie ona w tej formie, w jakiej istniała już niegdyś, a istnieć potrafiła?

W. K.

Twórczość.

Twórczość — jest czemś najwyższem, co człowiek osiągnąć może w swem rozwoju. Ale cóż to jest twórczość w pełnem tego słowa znaczeniu?

Odpowiedź niełatwa. I nikt nie potrafi na to pytanie odpowiedzieć trafnie, to też nie mam zamiaru się nawet silić na to, aby wam imponować, że wiem o tem. To też tak wspólnie, tak razem zastanówmy się nad tem pytaniem. A więc powiedzmy sobie przedewszystkiem bezwzględną prawdę, jaka może być na tym świecie, a więc to, że każdy człowiek urodził się

małem dzieckiem, takiem niedołężnem i głupiutkiem, jak zresztą każde dziecko. Cóż zatem dalej? A ot znowóż to, że wielu z tych, którzy się takiemi dziećmi urodzili — dokonali w wieku starszym rzeczy wielkich, które nam imponują, które nas w podziw wprawiają. Patrzcie! pędzi z zawrotną szybkością pociąg, przerzuca z miejsca na miejsce tysiące ludzi, tysiące cetnarów towaru. Cóż więc z tego? A więc był ktoś taki, kto wyrósłszy z okresu dziecinnego, zaczął myśleć, zastanawiać się i jeszcze raz myśleć i próby robić z siłą pary, jaką zawsze można otrzymać z wody przez ogrzewanie jej, aż w rezultacie dał podstawy, dał początki maszynie parowej.

Nieraz wielu z nas wędrowało drogą, przy której na słupach były rozciągnięte druty telegraficzne, lub telefoniczne. Nieraz gdyśmy wsłuchiwali się w trajkotanie tych drutów, przychodziło nam na myśl pytanie: jakimże to sposobem po drucie słowa lecieć mogą?

Pytanie, na które łatwo znaleźć odpowiedź, gdyż można przeczytać sobie odpowiednią książeczkę, aby zdobyć tajemnicę. Ale czy przyszło nam na myśl to, że wszak przecież był ktoś kiedyś, ktoś taki, który przedtem był dzieckiem niedołężnem, a który później pracą swych myśli i doświadczeń stworzył ten sposób rozmawiania się zapomocą drutów, rozpiętych na słupach.

Bajka już zresztą druty. Ale wiemy, że dzisiaj już i bez drutu ludzie mogą się rozmawiać. A więc znowóż był ktoś taki, ktoś kto wyrósł z powijaków niemowlęcych i potęgą swej myśli stworzył ten sposób. Albo kto stworzył aeroplany, na których ludzie unoszą się w przestworzach, jak te ptaki? Kto stworzył okręty i łodzie podwodne? Kto stworzył tyle innych dziwów, których nieraz pojąć nie możemy? Wszystko to stworzyli ludzie, ot, tacy sami, jakimi wszyscy jesteśmy. Ludzie, którzy tak samo jak i my byli dziećmi niedołężnemi.

Ale przejdźmy teraz od ludzi, którzy wynaleźli różne sposoby ułatwiające życie miljonom ludzi.

Pomyślmy z kolei o takich ludziach, jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Sienkiewicz i im podobni. Wszyscy mówią, że to mistrze słowa. I wielu z nas zachwyca się utworami tych mistrzów. Zresztą kto się nie zachwyca? Nietylko my Polacy, ale i obce narody. A dlaczego? Dlatego tylko, że oni umieli tak mówić do duszy i serca ludzkiego, że zaraz pierwsze wyrazy rozdrgać potrafiły każdą duszę i każde serce. Potrafili wprost z dusz ludzkich wyrywać czy to smutki, czy też żale, tęsknoty, sny beznadziejne,, albo znowóż radości, pragnienia i szały wielkich tryumfów, lub też wlewać wiarę i nadzieję wówczas, gdy ludzie je tracić już mieli. A wszak wszyscy oni, a więc i Mickiewicz i Słowacki i Krasiński i Sienkiewicz byli najpierw takiemi dziećmi niedołężnemi—jak każdy z nas.

Może niektórzy z nas widzieli obrazy Matejki: np. Grunwald, obraz historyczny. Matejko malował na płótnie tylko historję Polski. A trzeba wiedzieć, że w duszy każdego człowieka, mieści się historja cała jego narodu, tylko nikt jej dobrze nie rozumie, słowami jej wyrazić nie może, ale tam w głębi duszy tysiąclecia się gromadzą. I nieraz nauczyciele w szkołach mogą latami całemi ucznia swego uczyć historji, ale uczeń istoty jej pojąć nie może. Ale gdy przyjdzie do obrazów Matejki i spojrzy — błyskawicznie zaczyna rozumieć przeszłość całą Polski, jej chwałę, potęgę i wielkość. A dzieje się to dlatego, że ludzie obrazami zawsze żyli. Zawsze patrzyli na rzeczy, które się działy, a zaś to, co się działo, odbijało się obrazem w duszy, a to, co się odbiło w duszy pra-pradziadów naszych, to przeszło do dusz pra-pra-wnuków. I pra-pra-wnuk, gdy patrzy na obrazy Matejki—odzywa się w nim cała przeszłość narodu. A dlaczego? Bo Matejko potrafił ją z dusz ludzkich wyrwać i pokazać ludziom na płótnie. Obrazy Matejki to są nasze własne obrazy, które w duszach nosimy, które zostały nam przekazane przez pra-pra-dziadów naszych, którzy historję tworzyli.

Jeżeli to chcemy lepiej zbadać, to przypatrzmy się obrazom Chełmoń-

skiego. Zobaczymy tam różne pejzaże, grusze polne, sceny odpustowe i tym podobne z życia Polski dzisiejszej i gdy będziemy patrzyli, będziemy jednocześnie czuli, że takie to nasze, takie swojskie. I nieraz na obrazie innego malarza będziemy widzieli coś podobnego np. patrzymy na dwa stada kuropatw w czas śnieżnej zawiei. Jeden obraz nie będzie w nas nic budził, a o' raz Chełmońskiego zadrga nami. Ot, bo takie same, takie samiusieńkie stado widzieliśmy nieraz, gdy się zrywało do lotu spłoszone naszemi krokami. Tak samo i takie same stada kuropatw widzieli jeszcze przed wiekami i nasi pra-ojcowie i myśmy je nieraz widzieli. I tak to wiernie potrafił Chełmoński na płótnie odmalować.

A przecież Matejko i Chełmoński i wielu innych malarzy naszych urodzili się takiemi samemi dziećmi niedołężnemi, jakiemi rodziliśmy się i my wszyscy.

Albo Szopen?—ten mistrz tonów. Kto lepiej potrafił wyśpiewać żałobę po śmierci ukochanych? Kto potrafił tonami muzyki wyrazić taki smutek bezdenny, taką czarną żałobę, taki chłód mogilny, a potem takie ponure i mocne jęki dzwonów, a wreszcie te mocne tony, które rozkazują hardo wznieść czoło do góry? Kto to inny potrafił?

Nikt, jeno Szopen, w swym marszu żałobnym. Żałobny marsz Szopena, to marsz pogrzebowy Polski, który kazał jednocześnie wierzyć w zmartwychwstanie.

A czyż Szopen urodził się nie takiem samem dzieckiem niedołężnem jak i każdy z nas?

Teraz po tej wiązance przykładów możemy sobie powiedzieć: Twórczość, to jest moc duszy ludzkiej, moc tworzenia czynów wielkich, czynów wiodących całą ludzkość do rozwoju.

A czy każdy w swej duszy posiada taką moc?

Pytanie, na które znowóż trudno znaleźć odpowiedź. Ale tylko narazie. Gdy zaś będziemy się zastanawiali, to będziemy mogli sobie powiedzieć: nie! a potem: tak!

Dlatego powiemy że nie, gdyż łatwo się przekonamy, że nie wszyscy jesteśmy zdolni do tworzenia rzeczy nowych, dotychczas niebywałych, nie wszyscy potrafimy słowami mówionemi lub pisanemi odzwierciadlać dusze ludzkie, nie wszyscy potrafimy wyrywać z dusz ludzkich obrazy tam nagromadzone i utrwalać je na płótnie farbami; albo znowóż, że nie wszyscy potrafimy tonami muzyki odtworzyć stany duszy ludzkiej.

Gdy jednak zastanowimy się nad tem, że ludzie, o których była mowa, dosięgli szczytu twórczości, a potem gdy się w siebie wczujemy i usłyszyszymy wewnątrz jakieś głosy pragnień niepojętych — wówczas zrozumiemy, że i w nas iskra twórczości tleje. Jeno nie umiemy jej wydobyć, nie umiemy jej w trwałe formy zakuć. Zaczniemy rozumieć, że do szczytu trzeba wolnemi krokami zdążać. A te kroki drobne i wolne mogą się przejawiać w każdym najdrobniejszym czynie, jakich codziennie wiele, bardzo wiele spełniamy.

I tutaj znowóż sięgnijmy do przykładów!

Wielu z nas w czas jesienny i wiosenny chwyta pług w ręce. Prawda, można orać niedbale, raz płycej, raz głębiej, to znowóż pług wyskoczy, zrobi się omijak. Albo znowóż można równiusieńko prowadzić pług, równiuśko układać skibę za skibą, a gdy pług wyskoczy, cofnąć i omijaka nie zrobić. Prawda, że jeżeli sobie ktoś dobrze pług wyszykuje — może tak orać, bo gdy tak z roku na rok będzie czynił, to i perz mu przeszkadzał nie będzie, gdyż go nie będzie. A gdy tak orał będzie, jednocześnie przedziwna miłość duszę mu rozpiera do tych równiuśko ułożonych skib, radość go rozpromieni, a myśli zaczną się rozwijać jak te nici z kłębuszka i snuć się będą jak te promienie jasne.

I to będzie Orka twórcza.

Twórcza najpierw dlatego, że ziemia dobrze uprawiona wyda setny plon! Twórcza potem dlatego, że praca, miłośnie wykonywana, budzi myśli, a z jednych myśli rodzą się miljony nowych myśli; niekiedy wśród nich znaj-

dą się takie, które poprowadzą oracza do nowych, trudniejszych czynów twórczych, i to będzie dalszym krokiem do szczytu twórczości.

Kto chce, niechaj sobie przeczyta książkę pod tytułem: „Wyzwolenie" Waszyngtona. Zobaczy tam, jak ten czarny niewolnik — murzyn doszedł do szczytu twórczości drogą umiłowania pracy. Dzięki tylko temu, że każdą pracę wykonywał miłośnie, stał się później tym, kim był. A był człowiekiem — twórcą.

Pragnienie twórczości powinniśmy potęgować w swych duszach, to przeogromne będzie, napewno będziemytwórcami. Zyskamy wówczas wewnętrzne zadowolenie — a to zawsze i dla każdego jest najwyższą nagrodą.

Józef Niećko.



Zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej w Wilnie.

Związek Młodzieży Wiejskiej w Wilnie.

Ziemia Zanów i Mickiewiczów, tych świetlanych postaci, przodujących w swym czasie młodzieży polskiej na uniwersytecie wileńskim, o czem pisze pisarka, p. J. W. Kosmowska, i dzisiaj nie zapomina o tych wzorach, jakie stworzyła młodzież filarecka i filomacka.

Bardzo słusznie wspomniana autorka nazwała Związek Młodzieży Wiejskiej padkobiercą ideałów młodzieży Micieiwiczowskiej.

Jakby dla zadokumentowania tej łączności ideowej z przeszłemi pokoleniami—praca oświatowa i społeczna młodzieży wileńskiej rozwija się ze szczególnem wyróżnieniem. Mimo niższego stanu kulturalnego ogółu ludności, co zostało wywołanem przez szczególnie dotkliwe prześladowania polskiej kultury na kresach przez rząd zaborczy, — młodzież ziemi Wileńskiej ochoczo garnie się do swej organizacji.

Towarzystwo Straży Kresowej, przystępując tam do pracy społecznej na wsi, oceniło należycie znaczenie Kół Młodzieży Wiejskiej. I chociaż wojna wyrządziła tam największe spustoszenia, chociaż sprowadziła na ziemie kresowe krańcową nędzę, już przed inwazją bolszewicką powstały na terenie ziemi Wileńskiej liczne ośrodki pracy oświatowej młodzieży wiejskiej. Najazd bolszewjcki zahamował

chwilowo tę pracę, jednak sprawozdanie za r. 1921. wykazało, że w Wileńszczyźnie istniały 103 Koła Młodzieży. Wyniki pracy były niegorsze od innych dzielnic Polski. A nawet niektóre zasługują na szczególne wyróżnienie. N. p. 24 Koła posiadały własne świetlice, ozdobnie urządzone, które promieniowały na okolicę jasnemi promieniami wiedzy. Pragnienie oświaty jest tam widocznie zbyt żywe, świadczyć o tem może choćby poczytność książek i pism. Wileński Związek zorganizował w ciągu r. 1921. 74 biblioteki. Wyniki pracy w innych kierunkach — jak wykazuje sprawozdanie — są podobne do pracy różnych Związków Młodzieży Wiejskiej wewnątrz kraju.

A jako organizacja młodzieży kresowej zasługuje Wileński Związek Młodzieży jeszcze na jedno wyróżnienie. Nie idzie on tam na kresy z hasłami nienawiści wobec narodowości niepolskich—lecz z życzliwem słowem braterstwa i zgody.

Świadczyć może o tem uchwała Walnego Zjazdu, odbytego w dniu 25 maja r. 1922 (podobiznę podajemy). Oto jej słowa:

„Dalecy od wszelkiej nienawiści narodowościowej, uważając za konieczną i pilną potrzebę stworzenia form wzajemnego współżycia wszystkich narodowości, zamieszkujących nasze kresy, młodzież wiejska dążyć będzie, aby na terenie naszego Związku, pod sztandarem uspołecznienia wsi skupić i zjednoczyć we wspólnych ramach naszej organizacji całą młodzież wiejską ziemi Wileńskiej, bez względu na narodowość i wyznanie, stojąca na gruncie państwowości polskiej".

Z KÓŁ I ZWIĄZKÓW.

Z Koła Mł. w Golskich Holendrach.

(Sprawozdanie za czas od 25. 6—25. 10. 1922).

Koło nasze zawiązało się 25 czerwca 1922 r. W dniu tym odbyło się pierwszę zebranie organizacyjne, na którem było 13 osób z młodzieży i kilka starszych. Wybrano zarząd, złożony z 5 osób i uchwalono składkę miesięczną w wysokości 100 mkp. Od tego czasu odbyło się do dnia dzisiejszego 6 zebrań członków i 2 zebrania zarządu. W czasie tym odbyły się 3 zabawy: 2 dla członków i jedna w lesie na rzecz bibljoteki. Podczas tej ostatniej były odegrane dwie jednoaktówki: „Janek z pod Ojcowa" i „Placek Zusi". Przedstawienie udało się dobrze pod względem wykonania, przyniosło jednak deficyt ze względu na nieumiejętną organizację finansową.

Przy Kole istnieje bibljoteka, złożona z 88 książek.

Organem Koła jest gazetka „Siew", prenumerowana w 5 egzemplarzach na 17 członków. W kwartale III Koło otrzymywało „Świat". W ostatnim tygodniu zaprenumerowano gazetki z Poznania: „Przyjaciel Młodzieży" i „Młodą Polkę".

Gazetki i zaproszenia rozsyłane bywają za pośrednictwem dziatwy szkolnej, gdyż szkoła mieści się w domu rodziców sekretarki Koła.

Członkowie Koła nauczyli się śpiewać kilka piosenek.

Zarząd Koła ma nadzieję, że Koło rozwinie swoją działalność lepiej w zimie, gdy podczas długich wieczorów będzie czas i na czytanie gazet i książek, i na naukę śpiewu, na zebrania i inne prace Koła.

Antczak Czesław — prezes.
Anna Steinke. — sekr.

Z Koła Mł. w Wilczogębach.

Koło nasze powstało staraniem miejscowego nauczycielstwa, w lipcu 1921 r. Na członków zapisało są 20 osob, a w tem większość stanowiły dziewczęta. Myślą przewodnią organizatorów było zgrupowanie młodzieży nietylko z jednej wioski, ale i z wiosek okolicznych. Jako środowisko zebrań, wybrano wioskę kościelną Sadowne; wynajęto lokal i tu wyznaczano zebrania. Wynajęciem lokalu w bliskości kościoła, chciano wygodzić członkom, którzyby po skończonem nabożeństwie mogli się zbierać na wspólne zebrania, lub też — koleżeńską pogawędkę. Pomimo przeróżnych trudności, w krótkim czasie powstaje dość znaczna bibljoteka, składająca się z książek, ofiarowanych przez niektórych członków. Na zebraniach wygłoszono kilka odczytow historyczno-okolicznościowych, jak również urządzono wieczornicę. Ażeby polepszyć stan finansowy, przygotowano i wystawiono dwie komedyjki p. t.: „Pacjent Nr. 1" i „Legjoniści".

Oczekiwane korzyści z przedstawienia częściowo zawiodły; powodem tego było i jest dotychczas, małe zainteresowanie się miejscowego społeczeństwa naszem Kołem, a tem samem i każdą zapoczątkowaną, chociażby najszlachetniejszą pracą, lub najgodziwszą rozrywką. Z nastaniem okresu zimowego urządzono wieczorowe kursa dla dorosłych, na które uczęszczało 15 osób. Rownież nacisk położono na przygotowanie kilku odpowiednich komedyjek na czas letni. Pod koniec 21 r., liczba członków powiększyła się do 35. Na tem kończy się pierwszy okres działalności naszego Koła, a można go nazwać okresem organizacyjnym. Nadmienić przytem należy, że na wyróżnienie w pracy w tym czasie zasłużyli: Kol. C. Wyciek. St. Rytel i kol. St. Wyciechowną.

Na tem kończę z nadzieją, że o działalności naszej za rok bieżący napisze składniej która z naszych koleżanek, lub też kolegów. *Jan Puścień — czł.*

CENA OGŁOSZEŃ: **po tekście — 1 str. 35.000 mk., 1/2 str. 20.000, 1/4 str. 11.000, 1/8 str. 6.000 mk.; ogłoszenia w tekście o 25 procent drożej.**

Redaktor i Wydawca: Jan Dec. Nakładem: **Centr. Związku Kółek Rolniczych.**

Drukarnia Instytutu Głuchoniem. i Ociemn. w Warszawie, plac Trzech Krzyży Nr 4-6.